

LEE CHILD

SPRAWA OSOBISTA

Jack
Reacher



1

Osiem dni temu moje życie toczyło się utartym trybem. Zdarzały się w nim dobre rzeczy, zdarzały się i gorsze. Na ogół nie działo się nic specjalnego. Długie leniwe okresy bezczynności przerywane od czasu do czasu jakąś akcją. Zupełnie tak jak w wojsku. I to dzięki wojsku mnie znaleźli. Możesz rozstać się z armią, ale armia nie rozstaje się z tobą. Nie zawsze. I nie do końca.

Zaczęli szukać dwa dni po tym, jak jakiś facet strzelił do prezydenta Francji. Czytałem o tym w gazecie. Strzał z dużej odległości, z karabinu. W Paryżu. Ze mną nie miało to nic wspólnego. Byłem dziesięć tysięcy kilometrów dalej, w Kalifornii, z dziewczyną, którą poznałem w autobusie. Chciała spróbować swoich sił w aktorstwie. Ja nie. Więc po czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych w LA ona poszła swoją drogą, a ja swoją. Pojechałem dalej autobusem, najpierw na parę dni do San Francisco, później do Portlandu, na kolejne trzy, a potem ruszyłem jeszcze dalej, do Seattle. I właśnie dlatego znalazłem się blisko Fort Lewis, w autobusie, z którego wysiadły dwie kobiety w mundurach. Na siedzeniu po drugiej stronie przejścia zostawiły egzemplarz „Army Times” z poprzedniego dnia.

„Army Times” to osobliwa stara gazeta. Zaczęto ją wydawać przed drugą wojną światową i nadal wychodzi regularnie co tydzień; zawiera nieaktualne już wiadomości i najprzeróżniejsze artykuły informacyjne, podobne do tego, którego nagłówek zobaczyłem: *Nowe przepisy! Zmiany odznak i insygniów. W perspektywie cztery kolejne zmiany kroju mundurów!* Powiadano, że wiadomości są u nich nieaktualne, bo zrzucają je ze starych biuletynów Associated Press, ale przy uważnej lekturze wyczuwało się czasami między wierszami prześmiewczy ton. Wstępniaki bywały nieraz dość odważne. Nekrologi — czasami ciekawe.

Dlatego właśnie sięgnąłem po tę gazetę. Niekiedy ktoś umiera i może ci to sprawić radość. Albo i nie. Tak czy owak, trzeba być na bieżąco. Nie było mi to jednak dane, bo przed działem nekrologów trafiłem na ogłoszenia osobiste. W których zawsze jeden weteran szuka innego weterana. Dziesiątki anonсів, wszystkie takie same.

Łącznie z tym, w którym figurowało moje nazwisko.

Dokładnie przede mną, pośrodku strony. Sześć wytłuszczonych słów, zamkniętych w ramce:

Jack Reacher zadzwon do Ricka Shoemakera

To musiała być robota Toma O'Daya. Przez co później poczułem się głupio. Nie żeby O'Day nie był łebskim facetem. Musiał być. Przetrwał bardzo długo. Naprawdę bardzo długo. Był na stanowisku od niepamiętnych czasów. Już przed dwudziestu laty wyglądał, jakby miał ich sto. Wysoki, chudy, wymizerowany, poruszający się tak, jakby w każdej chwili miał się rozsypać, niczym połamana drabina. Nikt nie wzięłby go za generała. Prędzej za profesora. Na przykład antropologii. Jego rozumowanie było z całą pewnością prawidłowe. *Reacher*

pozostaje poza zasięgiem radaru, a to oznacza autobusy, pociągi, poczekalnie i tanie knajpy, czyli — przypadkowo lub nie — naturalne środowisko wojskowych, którzy „Army Times” kupują w kantynach znacznie częściej niż jakiegokolwiek inne publikacje i po których można się spodziewać, że będą zostawiali za sobą tę gazetę, tak jak ptaki zostawiają ziarna z jagód.

I mógł się spodziewać, że wezmę do ręki tę gazetę. Gdzieś. Wcześniej czy później. W końcu. Bo chciałem być na bieżąco. Możesz rozstać się z armią, ale armia nie rozstaje się z tobą. Nie do końca. Z tego, co wiedział i czego mógł się domyślić, zamieszczanie przez dziesięć albo dwanaście tygodni anonsu w dziale ogłoszeń osobistych pozwalało mieć niewielką, lecz realną nadzieję na sukces.

Ale udało się już za pierwszym razem. Dzień po tym, jak gazeta trafiła do kiosków. Dlatego było mi później głupio.

Okazałem się przewidywalny.

Rick Shoemaker był podwładnym Toma O'Daya. W tym momencie pewnie jego zastępcą. Mogłem go oczywiście zignorować. Ale byłem mu winny przysługę. O czym O'Day naturalnie wiedział. Dlatego w ogłoszeniu umieścił nazwisko Shoemakera.

I dlatego musiałem na nie odpowiedzieć.

Przewidywalny aż do bólu.

• • •

Kiedy wysiadłem z autobusu, w Seattle wcale nie padało. Było ciepło. I wszyscy byli jacyś naelektryzowani, w tym sensie, że wypijano tu olbrzymie ilości kawy, co sprawiło, że polubiłem to miasto, a także w tym sensie, że wszędzie było Wi-Fi oraz przenośne urządzenia elektroniczne, co trochę mnie zniechęciło i przez co trudno było znaleźć na rogach ulic staromodne automaty telefoniczne. Ale przy targu rybnym

jeden się ostał, w związku z czym stanąłem w niosącej zapachy morza słonej bryzie i wybrałem bezpłatny numer do Pentagonu. Nie ten, który można znaleźć w książce telefonicznej, ale ten, który zapamiętałem dawno temu. Numer specjalnej linii, z którą można się połączyć wyłącznie w nagłych wypadkach. Nie zawsze ma się w kieszeni ćwierćdolarówkę.

Odezwał się operator, powiedziałem, że chcę mówić z Shoemakerem, i przełączono mnie w jakieś inne miejsce w tym samym budynku, w tym samym kraju albo gdzieś indziej na świecie, i po całej serii kliknięć, szumów oraz kilku minutach martwej ciszy usłyszałem jego głos.

— Tak? — zapytał.

— Mówi Jack Reacher.

— Gdzie jesteś?

— Nie macie najróżniejszych urzędzeń, które by ci to powiedziały?

— Owszem — odparł. — Dzwonisz z Seattle, z automatu telefonicznego przy targu rybnym. Ale wolimy, kiedy ludzie sami przekazują informacje. Dzięki temu dalsza rozmowa jest łatwiejsza. Bo widać, że współpracują. Zaanżelowali się.

— W co?

— W rozmowę.

— Czy my ze sobą rozmawiamy?

— Niekoniecznie. Co widzisz na wprost przed sobą?

Spojrzałem.

— Ulicę — odparłem.

— A po lewej stronie?

— Stragany z rybami.

— Po prawej?

— Kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

— Jak się nazywa?

Powiedziałem mu.

- Idź tam i zaczekaj — rzucił.
- Na co?
- Jakieś trzydzieści minut — powiedział i rozłączył się.

• • •

Tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego w Seattle przywiązują tak wielką wagę do kawy. Mają tu port, więc może logiczne było wypalanie jej tam, gdzie ją przywieziono, a potem sprzedawanie tam, gdzie ją wypalano, co stworzyło rynek i przyciągnęło innych producentów w taki sam sposób, w jaki wszyscy producenci aut wyładowali w Detroit. A może jest tutaj odpowiednia woda? Albo wysokość, temperatura czy wilgotność? Tak czy inaczej, faktem jest, że kawiarnie mają tutaj przy każdej przecznicy, a każdy poważny miłośnik kawy musi się liczyć z czterocyfrowymi wydatkami w skali rocznej. Lokal po drugiej stronie ulicy był typowy. Styl nadawały mu gołe cegły, rdzawoczerwona farba i popękane drewno, a na tablicy z wypisanym kredą menu było dziewięćdziesiąt procent rzeczy, które wcale nie pasowały do kawy, jak na przykład różnego rodzaju i podawany w różnej temperaturze nabiał, dziwne syropy smakowe na bazie orzechów oraz wiele innych substancji zanieczyszczających środowisko. Zamówiłem zwykłą czarną, bez cukru, w średniej wielkości kubku na wynos, nie w ogromnym cebrze rozmiaru *grande*, lubianym przez niektórych. Wziąłem do tego kawałek ciasta cytrynowego i usiadłem sam na twardym drewnianym krześle przy dwuosobowym stoliku.

Ciasto zajęło mi pięć minut, kawa kolejne pięć, a osiemnaście minut później pojawił się facet od Shoemakera. Co oznaczało, że jest z marynarki wojennej, bo dwadzieścia osiem minut było całkiem niezłym wynikiem, a marynarka stacjonuje w samym Seattle. No i przyjechał granatowym samochodem. To był zwykły krajowy sedan, nieszczególnie atrakcyjny, ale

wypucowany na glans. Facet był bliższy czterdziestki niż dwudziestki i twardy jak gnat. Miał na sobie cywilne ciuchy. Granatową marynarkę, niebieską koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki. Marynarka była znoszona, a koszulka i spodnie wyprane chyba tysiąc razy. Prawdopodobnie starszy bosman sztabowy. Z sił specjalnych, prawie na pewno SEALs, bez wątpienia biorący udział w jakiejś tajnej operacji nadzorowanej przez Toma O'Daya.

Wszedł do kawiarni, lustrując kamiennym spojrzeniem wszystkich obecnych, zupełnie jakby miał jedną piątą sekundy, żeby przed rozpoczęciem ostrzału zdecydować, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Informacje, jakie otrzymał, musiały być podstawowe i zwięzłe, zaczerpnięte ze starych akt osobowych, ale wystarczyło *wzrost metr dziewięćdziesiąt pięć, waga sto dziesięć kilo*. Wszystkie inne osoby w kawiarni pochodziły z Azji, były w większości płci żeńskiej i drobnej postury. Podeszedł prosto do mnie.

— Major Reacher? — zapytał.

— Już nie.

— W takim razie pan Reacher?

— Tak — odparłem.

— Generał Shoemaker prosi, by pan się ze mną udał.

— Dokąd?

— Niedaleko.

— Ile gwiazdek?

— Nie rozumiem, proszę pana.

— Ma generał Shoemaker?

— Jedną, proszę pana. Generał brygady Richard Shoemaker, proszę pana.

— Kiedy?

— Co kiedy, proszę pana?

— Dostał awans?

— Dwa lata temu.

— Czy wydaje się to panu równie niezwykle jak mnie?
Facet przez chwilę milczał.

— Nie mam na ten temat zdania, proszę pana.

— A jak się miewa generał O'Day?

Znowu przez chwilę milczał.

— Nie znam nikogo o takim nazwisku, proszę pana —
odpowiedział w końcu.

• • •

Granatowym samochodem okazał się chevrolet impala z policyjnymi deklami i tapicerowanymi siedzeniami. Najświeższą rzeczą na nim była pasta polerska. Facet w granatowej marynarce kluczył ze mną przez chwilę śródmiejskimi uliczkami, a potem pojechał międzystanową I-5 na południe. Tą samą trasą, którą pokonał wcześniej autobus. Minęliśmy ponownie Boeing Field, potem lotnisko Sea-Tac i jechaliśmy dalej w kierunku Tacomy. Facet w marynarce nic nie mówił. Ja też. Siedzieliśmy tam bez słowa, zupełnie jakbyśmy brali udział w zawodach, kto dłużej się nie odezwie, i bardzo nam zależało na wygranej. Wyglądałem przez okno. Wszystko było zielone: wzgórza, morze i drzewa.

Minęliśmy Tacomę i zwolniliśmy w miejscu, gdzie kobiety w mundurach wysiadły z autobusu, zostawiając w nim swój egzemplarz „Army Times”. Wybraliśmy ten sam zjazd. Drogowskazy informowały, że mamy przed sobą wyłącznie trzy bardzo małe miasteczka i jedną bardzo dużą bazę wojskową. Istniało więc spore prawdopodobieństwo, że zmierzamy do Fort Lewis. Okazało się jednak, że niezupełnie. To znaczy formalnie rzecz biorąc, właśnie tam zmierzaliśmy, ale dawniej byśmy tak nie powiedzieli. Zmierzaliśmy do czegoś, co kiedyś nazywało się Bazą Sił Powietrznych McChord, a teraz było połówką Połączonej Bazy Lewis-McChord. Reformy. Politycy zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę dolców.

Spodziewałem się pewnych korowodów przy bramie, bo z bazy korzystały wspólnie siły lądowe i powietrzne, samochód i kierowca należeli do marynarki, a ja byłem w ogólnym. Brakowało tylko piechoty morskiej i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale władza O'Daya była taka, że musieliśmy tylko lekko zwolnić. Wjechaliśmy do środka, skręciliśmy ostro najpierw w lewo, potem w prawo, przejechaliśmy przez drugą bramę i nagle znaleźliśmy się na płycie lotniska, malutki niczym polna myszka w porównaniu z olbrzymimi transportowymi C-17. Przejechaliśmy pod ogromnym szarym skrzydłem i prując po czarnym asfalcie, skierowaliśmy się tam, gdzie na płycie stał samotny biały samolot. Firmowy odrzutowiec. Lear, gulfstream czy co tam dzisiaj kupują bogacze. Biała farba lśniła w słońcu. Poza numerem na ogonie nie było na nim w ogóle napisów. Żadnej nazwy, żadnego logo. Silniki pracowały na wolnych obrotach, trap był spuszczone.

Facet w granatowej marynarce zatoczył precyzyjny łuk i zatrzymał się tak, że drzwi impali od mojej strony dzielił niespełna metr od najniższego schodka trapu. Co uznałem za wskazówkę. Wysiadłem i przystanąłem na chwilę na słońcu. Rozkwitła wiosna i pogoda była przyjemna. Samochód, który mnie przywiózł, odjechał, a nade mną w owalnych drzwiach kabiny pojawił się steward. Miał na sobie mundur.

— Proszę pana na górę — powiedział.

Schodki ugięły się nieco pod moim ciężarem. Wspiąłem się po nich i pochyłony wszedłem do kabiny. Steward odsunął się na prawo, a po lewej z kokpitu wychylił się kolejny facet w mundurze.

— Witamy pana na pokładzie — oświadczył. — Ma pan dziś do dyspozycji całą załogę i dostarczymy tam pana bez zbędnej zwłoki.

— „Tam”, czyli dokąd? — zapytałem.

— Do celu. — Facet usiadł w fotelu obok drugiego pilota i obaj zabrali się do sprawdzania przyrządów. Ja ruszyłem za stewardem i znalazłem się w kabinie, w której dominowały karmelowa skóra i orzechowy fornir. Byłem jedynym pasażerem. Wybrałem pierwszy lepszy fotel. Steward wciągnął trap, zamknął drzwi i siadł na składanym fotelu za plecami pilotów. Trzydzieści sekund później byliśmy w powietrzu i pięliśmy się ostro do góry.

2

Domyślałem się, że po starcie z McChord skręciliśmy na wschód. Nie mieliśmy zresztą wielkiego wyboru. Na zachodzie była Rosja, Japonia i Chiny i wątpiłem, by tak mały samolot miał tak duży zasięg. Zapytałem stewarda, dokąd lecimy, na co odparł, że nie widział naszego planu lotu. Gówno prawda. Nie cisnąłem go jednak. Jeśli chodzi o inne tematy, okazał się całkiem rozmowny. Poinformował mnie, że samolot to gulfstream IV, który w wyniku postępowania federalnego skonfiskowano nieuczciwemu funduszowi hedgingowemu i przydzielono siłom powietrznym do transportu VIP-ów. Jeżeli tak, to VIP-y sił powietrznych miały nie lada szczęście. Samolot był super. Cichy i solidny, z niesamowitymi fotelami. Rozkładały się w dowolny sposób. A w kąciку kuchennym była kawa. Z prawdziwego ekspresu. Powiedziałem facetowi, żeby go nie wyłączał i że sam będę brał dolewki. Docenił to. Potraktował chyba jako oznakę szacunku. Tak naprawdę nie był oczywiście stewardem. Był kimś w rodzaju ochroniarza, przydzielonym do eskorty, dość twardym, by podolać swoim obowiązkom, i dumnym, że to rozumiem.

Patrzyłem przez okno, przyglądając się najpierw Górcom

Skalistym, które nisko na dole porośnięte były ciemnozielonymi drzewami, a wysoko na górze pokryte oślepiającym śniegiem. Potem pojawiła się szachownica brązowych pól uprawnych, bez końca zaorywanych, obsiewanych i koszonych, i z rzadka pokrapianych deszczem. Po ukształtowaniu terenu poznałem, że zahaczyliśmy o koniuszek Dakoty Południowej, i zanim znaleźliśmy się nad Iowa, zobaczyłem kawałek Nebraski. Co ze względu na geometryczne zawiłości lotów na dużych wysokościach oznaczało, że zmierzamy raczej na południe. Trasą koła wielkiego. Wyglądając dziwnie na płaskiej papierowej mapie, ale pasującą jak ulał do kulistej planety. Zmierzaaliśmy do Kentucky, Tennessee albo Karoliny Północnej lub Południowej. Może nawet do Georgii.

Mijały kolejne godziny, wypilem dwa dzbanki kawy i w końcu ziemia zaczęła się przybliżać. Z początku wydawało mi się, że to Wirginia, ale potem zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w Karolinie Północnej. Zobaczyłem dwa miasta, które wyglądały na Winston-Salem i Greensboro. Pojawiły się po lewej stronie i zostały w tyle. Co oznaczało, że lecimy na południowy wschód. Żadnych większych miast aż do Fayetteville. Lecz tuż wcześniej jest Fort Bragg. Czyli miejsce, gdzie mieści się dowództwo sił specjalnych. Naturalne środowisko O'Daya.

Kolejny błąd. A właściwie trafna odpowiedź, ale tylko jeśli chodzi o nazwę. Wylądowaliśmy w wieczornym mroku w miejscu, które było kiedyś Bazą Sił Powietrznych Pope, ale później zostało przekazane siłom lądowym. Teraz było to po prostu Pope Field, położone w samym rogu o wiele większego Fort Bragg. Reformy. Politycy zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę dolców.

Kołowaliśmy dość długo, malutcy na płycie mogącej pomieścić całe lotnicze eskadry. W końcu stanęliśmy przy niewielkim budynku administracyjnym. Zobaczyłem tabliczkę

z napisem 47. *Jednostka Logistyki, Dowództwo Wsparcia Taktycznego*. Pilot wyłączył silniki, a steward otworzył drzwi i opuścił trap.

— Które drzwi? — zapytałem.

— Czerwone.

Zbiegłem na dół i ruszyłem po ciemku przed siebie. Były tylko jedne czerwone drzwi. Otworzyły się, kiedy dzieliły mnie od nich dwa metry. Wyszła przez nie młoda kobieta w czarnym żakiecie i spódnicy. Ciemne rajstopy. Porządne buty. Bardzo młoda kobieta. Na pewno nie przekroczyła trzydziestki. Miała blond włosy, zielone oczy i twarz w kształcie serca. Na której widniał szeroki powitalny uśmiech.

— Jestem Casey Nice — powiedziała.

— Casey i jak dalej?

— Nice.

— Jack Reacher.

— Wiem. Pracuję w Departamencie Stanu.

— W Waszyngtonie?

— Nie, tutaj.

Co było nawet logiczne. Siły specjalne są zbrojnym ramieniem CIA, ta faktycznym ramieniem Departamentu Stanu, a pewne decyzje wymagają udziału wszystkich zainteresowanych stron. Stąd obecność Casey Nice w bazie, pomimo młodego wieku. Może była strategicznym geniuszem. Kimś w rodzaju cudownego dziecka.

— Jest tutaj Shoemaker? — zapytałem.

— Wejdzmy do środka — powiedziała.

Zaprowadziła mnie do małego pokoiku z szybą ze zbrojowego szkła. W środku były trzy fotele, każdy z innego kompletu, wszystkie trochę żalosne i opuszczone.

— Usiądźmy — zaproponowała.

— Po co tu przyleciałem?

— Najpierw musi pan zdać sobie sprawę, że wszystko, co

pan od tej chwili usłyszysz, jest ściśle tajne. Za ujawnienie tych informacji grozi poważna kara.

— Dlaczego chce mi pani zdradzić tajne informacje? Widzi mnie pani po raz pierwszy w życiu. Nic pani o mnie nie wie.

— Puszczono w obieg pańskie dossier. Ma pan certyfikat bezpieczeństwa. Nie został nigdy uchylony. Wciąż pana obowiązuje.

— Czy wolno mi wstać i odejść?

— Wolałabym, żeby pan został.

— Dlaczego?

— Chcemy z panem porozmawiać.

— Departament Stanu?

— Akceptuje pan to, co powiedziałam o ściśle tajnych informacjach?

Pokiwałem głową.

— Czego chce ode mnie Departament Stanu?

— Mamy pewne zobowiązania.

— To znaczy?

— Ktoś oddał strzał do prezydenta Francji.

— W Paryżu.

— Francuzi zaapelowali o międzynarodową współpracę. W celu odnalezienia sprawcy.

— To nie byłem ja. Byłem w LA.

— Wiemy, że to nie pan. Nie ma pana na liście.

— Jest jakaś lista?

Zamiast odpowiedzieć, wsunęła dłoń między żakiet i bluzkę, wyciągnęła stamtąd złożoną kartkę i mi podała. Papier ogrzał się od jej ciała i lekko wygiął. Ale nie było na nim listy. To był skrócony raport z naszej ambasady w Paryżu. Najprawdopodobniej od szefa komórki CIA. Najważniejsze fakty.

Odległość, z jakiej oddano strzał, była wyjątkowa. Ustalono, że kryjówka snajpera znajdowała się na balkonie apartamentu oddalonego o tysiąc trzysta metrów od miejsca zamachu.

Prezydent Francji stał na ustawionym na ulicy podium, osłonięty po bokach taflami grubego kuloodpornego szkła. Jakiś nowy, ulepszony materiał. Z wyjątkiem samego prezydenta nikt nie widział strzału. On sam zobaczył niewiarygodnie odległy, niewielki płomień wylotowy, wysoko i daleko po swojej lewej stronie, a następnie, po ponad trzech długich sekundach, na szybie pojawiła się mała biała gwiazdka, zupełnie jakby siadł na niej błyśnięcie owad. Długi, bardzo długi strzał. Ale szyba wytrzymała, a odgłos uderzającego w nią pocisku spowodował natychmiastową reakcję i na prezydenta skoczył tłum ochroniarzy. Później odnaleziono wystarczająco dużo fragmentów, by ustalić, że był to przeciwpancerny pocisk kalibru .50.

— Nie ma mnie na liście, bo nie jestem aż tak dobry — powiedziałem. — Tysiąc trzysta metrów to ogromna odległość, jeśli mierzy się do celu wielkości głowy. Pocisk jest w powietrzu przez całe trzy sekundy. To tak, jakby puszczało się kamyczek do bardzo głębokiej studni.

Casey Nice pokiwała głową.

— Lista jest bardzo krótka — oznajmiła. — Dlatego Francuzi są zaniepokojeni.

Nie zaniepokoił ich od razu. To było jasne. Według zbiorczego raportu przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny byli dumni z tego, że zabezpieczyli się na tak dużą odległość i mają takie znakomite kuloodporne szyby. Ale potem dotarła do nich rzeczywistość i zaczęli wydzwaniać po całym świecie. Kto zna tak dobrego snajpera?

— Gówna prawda — powiedziałem.

— W której części? — zapytała Nice.

— Nie obchodzi was Francuzi. Nie aż tak bardzo. Być może wydalibyście stosowne pomruki i kazalibyście stażystom coś odpisać. Ale ta historia wylądowała na biurku Toma O'Daya. Co najmniej na pięć sekund. Co oznacza, że jest

ważna. A potem, dwadzieścia osiem minut po moim telefonie, zameldował się po mnie komandos z SEALs i przewieźliście mnie przez kontynent prywatnym odrzutowcem. Jest oczywiście, że zarówno komandos, jak i odrzutowiec byli w pogotowiu, ale jest tak samo oczywiste, że nie mieliście pojęcia, gdzie jestem i kiedy zadzwonię, więc musieliście mieć w pogotowiu całą masę komandosów i całą masę odrzutowców, tu, tam i gdzie indziej, w całym kraju, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na wszelki wypadek. A skoro chodziło wam o mnie, chodzi wam z pewnością i o innych. Zabezpieczacie się na wszystkie strony.

— Sytuacja bardzo by się skomplikowała, gdyby okazało się, że snajper jest Amerykaninem.

— Dlaczego miałby nim być?

— Mamy nadzieję, że nie jest.

— Co takiego mogę dla was zrobić, co warte jest prywatnego odrzutowca?

W jej kieszeni zadzwonił telefon. Odebrała go, przez chwilę słuchała i schowała.

— Wyjaśni to panu generał O'Day — powiedziała. — Jest gotów się z panem spotkać.